

# TAK WSPOMINAM STAN WOJENNY...

**Swoją opowieść rozpocznę od tego, że 12 grudnia 1981 r. wybrałem się z moimi dwoma szwagrami do Kołobrzegu w celu odwiedzenia brata mojej żony – Zbyszka, który służył tam w wojsku. Podróż odbywaliśmy pociągiem i już w jej trakcie zauważyliśmy przemieszczanie się wojsk pancernych, co nas bardzo zaniepokoiło. Możliwość zdławienia „Solidarności” przewidywaliśmy od chwili jej powstania.**

Było wiadomo, że ustrój komunistyczny nie będzie tolerował żadnej niezależnej inicjatywy. Samo słowo „wolne”, które istniało w postulatach jako przymiotnik nowych związków zawodowych, było nie do zaakceptowania nawet przez tzw. ekspertów podczas strajków sierpniowych i w konsekwencji zmieniono je na „niezależne, samorządne”. Mnogość różnych inicjatyw, jakie powstawały przy „Solidarności”, była nie do opanowania przez komunistyczne władze. Inicjatywy te zmierzały różnymi drogami ku wolności. Wszyscy byliśmy wtedy żądni wolności, ale wolności nie udawanej, nie tej, która wypływała z rozkazów Moskwy, lecz autentycznej. Komuniści zauważali w tym niebezpieczeństwo i musieli to zdławić, aby ich zdrady i nieprawości nie zostały poddane niczyjemu osądowi. Obawiali się prawdy, więc musieli ją zniszczyć.

Provokacja bydgoska była odczytywana jako moment rozprawy z „Solidarnością”. „Solidarność” była jeszcze monolitem, a pora roku była nieodpowiednia do zaostrzania konfliktu. Władze postanowiły bardziej zmęczyć naród. Przypuszczono zmasowany atak medialny. Na rynku stworzono taką sytuację, że podstawowe artykuły codziennego użytku, tj. żywność, środki czystości i higieny osobistej, odzież, obuwie i leki, były bardzo trudno dostępne, czasem wręcz niemożliwe do nabycia. Wyprowadzono patrole wojskowe na ulice, następnie zaatakowano strajkującą Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą w Warszawie (moim zdaniem w celu rozpoznania reakcji władz „Solidarności”). Większość Polaków przewidywała, że władze rozpoczną rozprawę z „Solidarnością”. Nikt jednak nie wyobrażał sobie, kiedy i jak to nastąpi.

Rano dotarliśmy do Kołobrzegu i udaliśmy się w kierunku jednostki wojskowej. Ulice były wyludnione i ciche, co powodowało nasze zdziwienie. Jeszcze bardziej zdziwiliśmy się, gdy dotarliśmy do koszar, a sierżant pełniący służbę oświadczył: „Do widzenia, nie dojdzie”; kazał nam odejść. Gdy natarczywie i stanowczo domagałem się widzenia, zareagował nieadekwatnie do wagi argumentów: wyciągnął broń i pogonił nas. Uznaliśmy jego argumentację i postanowiliśmy wrócić do Gdańska, by sprawdzić, co się tam dzieje. Wieczorem byliśmy już w Gdańsku, wzbogaceni o wiedzę o tym, że gen. Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Zdążyliśmy też zauważyć obwieszczenia „krzyczące”, że dla buntowników istnieje groźba kary śmierci. Poszliśmy do mieszkania mojej żony, gdzie mieszkała z bratem i mamą. Ona to przekazała mi informację, że Leszek Świtek<sup>1</sup> prosił, bym przyszedł do portu. Postano-

<sup>1</sup> Leszek Świtek (właśc. Marian Świtek), członek czteroosobowego prezydium NSZZ „Solidarność” przy Zarządzie Portu Gdańsk.

wielem pójść tam rano następnego dnia. Zorientowałem się również, że mieszkanie mojej żony nie było obserwowane. Dziwić może fakt, że piszę „mieszkanie mojej żony” – ale w obliczu zagrożenia [wynikającego z zaangażowania w działalność Wolnych Związków Zawodowych – red.] nie mogłem narażać moich najbliższych na jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, dlatego nie miałem jednego i stałego miejsca pobytu. Wiedziałem już o aresztowaniach, choć nie znałem skali tych wydarzeń. Jak się później dowiedziałem, SB nie miała aktualnych danych na temat mojego miejsca zamieszkania, gdyż nawet na decyzji internowania wydanej z datą 13 grudnia był adres mojej kwatery stoczniowej na ul. Paneckiego, gdzie nie mieszkałem już od dłuższego czasu. Do portu udałem się następnego dnia ok. 5.00 rano. Jak zawsze, ruszyłem na przystanek tramwajowy. Z daleka zauważyłem, że co pewien czas wzdłuż torów przejeżdżał samochód milicyjny, tzw. suka, nawołując przez mikrofon strajkujących pracowników, by powrócili do domu, gdyż mają dzień wolny. Głos ten brzmiący z blaszanych megafonów nie był zbyt miły, ale pasował do pejzażu stanu wojennego. Scenerii dopełniało parę skulonych z zimna, smutnych i przestraszonych osób oczekujących na tramwaj. Sam z duszą na ramieniu przybliżyłem się do tej grupki. Obawiałem się patroli, gdyż w razie sprawdzania dokumentów nie uniknąłbym zatrzymania. Gdybym nie okazał dowodu, zatrzymano by mnie, gdybym okazał – również by się tak stało, gdyż jako miejsce pracy miałem wpisane: „Solidarność” Zarządu Portu Gdańsk. Pozostawała więc ucieczka. Oczekiwanie dłużyło się okropnie, a tramwaj nie przyjeżdżał. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na siebie nieufnie, przestępując z nogi na nogę, by się choć trochę ogrzać. Nikt się nie odzywał, a ciszę przerywały tylko szczekające samochody milicyjne. Wreszcie tramwaj nadjechał! Wsiadłem do niego i poczułem trochę ulgi, choć do następnego przystanku. Gdy tramwaj zwalniał, niepokój znów narastał i pojawiał się lęk o to, by nie zdarzył się czarny scenariusz...

Dojechałem do Nowego Portu, gdzie spotkałem Stanisława Jarosza<sup>2</sup> i Leszka Świtka, którzy opowiedzieli mi, co się wydarzyło w porcie w niedzielę. Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej (ZOMO) zaarrestowały wielu ludzi i włamały się do budynku administracji, gdzie znajdowała się drukarnia „Solidarności” – jedną drukarkę offsetową zabrano, drugą udało się uratować. Zaisztowała potrzeba udania się do Stoczni Gdańskiej, by zobaczyć, jak tam wygląda sytuacja. Wyraziłem gotowość pójścia, gdyż moje nazwisko było trochę znane, a dodatkowo miałem jeszcze pieczętkę pracownika „Solidarności” w dowodzie osobistym. Przekonałem ich i prawie jednocześnie żałowałem, że mi się to udało. Tym razem pojechałem kolejką podmiejską. Wsiadłem i udałem się do najbliższej bramy portowej. Przy bramie stał czołg, który pomimo zimy i mrozu był cały obsypany różnokolorowymi kwiatami. Obok grupa ludzi rozmawiała z żołnierzami. Poszedłem dalej i przedstawiłem się broniącym wstępu robotniczemu strażom. Na szczęście wystarczyło okazanie dowodu. Zacząłem szukać dowodzącego, ale jednocześnie rozmawiałem z ludźmi. Mieli całkiem dobre nastroje jak na tamte realia. Były obawy przed atakiem, ale ludzie zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, byli odważni i zdeterminowani. Ich postawa bardzo mnie podbudowała.

Wróciłem do Portu i zdałem relację z tego, co widziałem. Tam panowała podobna atmosfera: zgromadzeni tam ludzie z ogromnym sercem, dla dobra Polski gotowi byli oddać wszystko. Jestem dumny, że mogłem być wśród nich, razem bronić honoru Polski, i szczyć się tym do dziś. Stanisław Jarosz w książce *Portowców gdańskich drogi do wolności* tak wspomina tamten czas: „Wprowadzenie stanu wojennego odebrałem jako wypowiedzenie wojny »Solidarności«. Tak też rozumiała go większość portowców, która z wielką determinacją

<sup>2</sup> Przewodniczący NSZZ „Solidarność” przy Zarządzie Portu Gdańsk.

przystąpiła do strajku i trwała w nim najdłużej na Wybrzeżu. Powiem szczerze, byliśmy przygotowani na wszystko, na obronę do upadłego i gdyby inne wielkie zakłady, a zwłaszcza Stocznia Gdańska, tak przygotowały się do obrony jak my, to WRON-a miałyby trudny orzech do zgryzienia. Niestety po trzech dniach zostaliśmy w swym oporze osamotnieni”.

Po powrocie ze Stoczni moim zadaniem było podjęcie druku na ocalałej maszynie, którą umieszczono na barce. W trudnych zimowych warunkach, na nieogrzewanej barce, nie było to łatwym zadaniem. Maszyna do pracy potrzebowała energii elektrycznej, ale i odpowiedniej temperatury. W tych warunkach woda zamarzała mi na wałkach i druk był niemożliwy. Moc prądu była za mała, by jednocześnie mógł działać grzejnik elektryczny i maszyna drukarska. Wyłączałem więc maszynę i włączałem grzejnik, aby po chwili, gdy udało mi się rozgrzać maszynę, kontynuować drukowanie i tak cyklicznie, na okrągło. Choć byłem opatulony maksymalnie, marzłem niesamowicie. Nawet teraz, gdy o tym wspominam, robi mi się zimno. Trwało to tydzień. Późnym wieczorem 19 grudnia, w sobotę, któryś z portowców zawitał na barcę, gdzie walczyłem z zimnem i maszyną. Zdziwił się bardzo, że jeszcze tam byłem, gdyż strajk już się skończył. Moje poczucie względnego bezpieczeństwa przysło niemal od razu i powstało pytanie: co dalej? Człowiekowi, który do mnie przyszedł, przekazałem to, co zrobiłem, oraz zaleciłem troskę o maszynę. Rad nierzad ruszyłem na spotkanie przyszłości. Dopiero po wyjściu z barki poczułem zmęczenie i przemarznięcie. Postanowiłem pojechać do żony, ale nie byłem pewny, czy uda mi się tam dotrzeć. Częste patrole ZOMO na pewno nie ułatwiały zadania. Oczekując na tramwaj, musiałem zachować taką odległość, by zdążyć podbiec, gdy podjedzie, i jednocześnie nie być zbyt widocznym. Opatrzność mi sprzyjała, gdyż bez większych przygód dotarłem do ciepłego mieszkania i do stęsknionej żony. Oczekiwaliśmy drugiego dziecka i był to już dziewiąty miesiąc stanu błogosławionego. Nie jest to powieść miłosna, więc pominię parę fragmentów miłych wspomnień powitalnych.

Po dojściu do siebie i po przemyśleniu pewnych spraw uznałem, że muszę nawiązać kontakt ze swoim środowiskiem, by podjąć decyzję, co dalej. Poza tym doszedłem do wniosku, że przebywanie we własnym mieszkaniu nie jest bezpieczne. Postanowiłem zmienić miejsce pobytu. I tak przechodziłem z miejsca na miejsce. Święta spędziłem samotnie i trudno ukryć, że były to jedne z najsmutniejszych świąt w moim życiu. Po upewnieniu się, że jest „czysto”, 30 grudnia poszedłem do mieszkania żony, gdzie byłem umówiony z Mirkiem Walukiewiczem<sup>3</sup>. Z Mirkiem postanowiliśmy skończyć z „no violence” (bez przemocy) i podjąć się próby rozbrajania nadających się do tego osobników. Wstępując do Wolnych Związków Zawodowych, ja i większość moich kolegów robiliśmy to dlatego, że poszukiwaliśmy możliwości walki o wolność, a nie dlatego, że czuliśmy się związkowcami. Przyjeliśmy jako cel obalenie reżimu komunistycznego i byliśmy zdecydowani, jeżeli zajdzie taka konieczność, podjąć każdą formę walki. Omówiliśmy tę sprawę, a następnie podjęliśmy plany wspólnego spędzenia Sylwestra. Był to dla mnie miłszy akcent w tej rozmowie, zwłaszcza po samotnie spędzonych świątach.

Po opuszczeniu mieszkania przez Mirka, który był u nas z Ireną Dąbrowską<sup>4</sup>, zadzwonił dzwonek. Żona przekonana, że wrócił jej brat Jarek, poszła otworzyć drzwi. Do mieszkania weszło kilku funkcjonariuszy SB i MO. Kazano mi pozostać na miejscu, a pilnował mnie milicjant. Pozostali esbecy zajęli się przeszukiwaniem naszego mieszkania. Pomimo naszych

<sup>3</sup> Kolega z liceum, jeden z najbliższych moich współpracowników w WZZ, pracownik „Bimetu” Fabryki Łożysk Toczných.

<sup>4</sup> Koleżanka z liceum. Dziewczyna, a później żona M. Walukiewicza.

protestów przeszukano nawet łóżeczko córki Ani, która dawno już spała. W mieszkaniu nie znaleziono nic, choć za fotelem, przy którym stałem, leżał stosik niezależnej prasy i ulotek. Milicjanci nie zauważyli tego. Gdy sprowadzano mnie po schodach, jeden z funkcjonariuszy szepnął: „Uciekaj!”. Zaraz przypomniła mi się podobna sytuacja, o której głośno było w Gdańsku, gdy podczas ucieczki strzelano do Bogdana Borusewicz, dlatego nie podjąłem próby ucieczki. Po wyjściu na zewnątrz okazało się, że budynek był obstawiony przez ZOMO i moja ucieczka nie miała szans powodzenia.

Zawieziono mnie na ul. Kurkową, następnie do szpitala. Tam lekarz, spojrzawszy na mnie, stwierdził: „może siedzieć”. Gdy ponownie zawieziono mnie do aresztu, prawie od razu wzięto mnie na przesłuchanie. Nie byłem przesłuchiwany po raz pierwszy, więc miałem już pewne doświadczenie. Systematycznie odmawiałem zeznań. Straszono mnie wieloletnim więzieniem, pokazywano przechwycone ulotki, które drukowałem w porcie. Trwałem jednak w prawnym milczeniu. Nie wiem, jak długo trwały przesłuchania. Nad ranem wróciłem do celi przekonany, że będzie ona moim domem przez najbliższych parę lat. Wspomnę jeszcze, że dom rodziców w Kudowie-Zdroju, w moim stałym miejscu zamieszkania, był pod stałą obserwacją, jak mi później relacjonował mój tata. Jeden z żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza poinformował go, że rozesłano za mną list gończy. Gdy siedziałem w areszcie, rozpatrując swoje położenie, w celi zjawili się funkcjonariusze MO, którzy skuli mnie kajdanami i zaprowadzili do samochodu milicyjnego, gdzie siedział już Ryszard Szkuat<sup>5</sup>, którego jeszcze wtedy nie znałem. Ruszyliśmy skuci, drogą przez śniegi w nieznaną, które okazało się obozem dla internowanych w Strzebielinku. Powitanie nie było najmiłsze, zabrakło także fanfar i czerwonych dywanów... Dwóch zomowców popisywało się swoją odwagą, wykrzykując głupie uwagi, ale nam wcale nie było do śmiechu. Po dopełnieniu formalności: ponownych rewizji osobistych i innych upokarzających czynności, wylądowaliśmy razem w pustej celi, przeznaczonej dla wielu więźniów. Szybko udało nam się nawiązać kontakt z ludźmi z sąsiadującej celi, którzy powiedzieli nam, gdzie i wśród kogo jesteśmy. Ja ciągle byłem jednak przekonany, że jest to tylko przystanek i oczekiwałem procesu, przecież przy mniejszej liczbie dowodów skazywano na wiele lat więzienia. Myśl ta nie opuszczała mnie do końca internowania. Nie była to jedyna natrętna myśl; jeszcze bardziej prześladował mnie brak wiedzy o tym, co się dzieje z żoną, która spodziewała się rozwiązania, oraz co z moją córeczką Anią.

Pierwsze widzenie miałem ok. 15 stycznia. Przyjechała teściowa i od niej dowiedziałem się, jakie były trudności z ustaleniem mojego miejsca pobytu. Przysługiwało nam jedno jednogodzinne widzenie w ciągu miesiąca. Tuż przed odwiedzinami wystosowałem do komendanta obozowego pismo, w którym informowałem, że moja żona oczekuje rozwiązania, a moja druga córka potrzebuje opieki, gdy żona będzie w położu. Prosiłem o zwolnienie na ten czas. Pod koniec stycznia napisałem jeszcze jedno pismo, prosząc o zezwolenie na dostarczenie mi podręczników, gdyż w maju miałem zdawać maturę i ukończyć Liceum Ogólnokształcące nr 5 w Oliwie. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na oba pisma, napisałem więc kolejne, żądając jakiegokolwiek odpowiedzi. Napisałem też, że jeśli jej nie otrzymam, podejmę głodówkę protestacyjną. Gdy minął wyznaczony przeze mnie termin, podjąłem dziesięciodniową głodówkę, przez którą nic nie osiągnąłem, władze obozu nie okazały bowiem zainteresowania. Zaraz po tym w obozie podjęto głodówkę obozową, nie pamiętam, jakie były jej przyczyny, nie brałem w niej udziału, gdyż byłem zbyt osłabiony. Następną wizytę miałem w marcu;

<sup>5</sup> Pracownik Stoczni Remontowej w Gdańsku. Poznałem go w czasie transportu do Strzebielinka. Przebywaliśmy w tej samej celi.

przyjechała moja siostra Maria z Kudowy i teściowa. Dopiero od nich dowiedziałem się, że 27 stycznia urodziła mi się druga córeczka i że żona czuje się dobrze, o ile można „dobrze” się czuć, mając męża w więzieniu. Mama opowiadała, że gdy żona jechała karetką pogotowia do porodu z ostrymi bólami, była kilkakrotnie zatrzymywana i przeszukiwana przez ZOMO.

W kwietniu przyjechała żona z Ewą, moją trzymiesięczną córeczką, którą wtedy po raz pierwszy zobaczyłem. Przyjechała jeszcze moja mama. Mama zaraz na początku wizyty za słabła i musiano wezwać pogotowie – był to atak serca. Odwieziono ją do szpitala w Wejherowie, gdzie była otoczona wspaniałą opieką medyczną, co nieraz wspominała, żartując, że było jej w szpitalu tak dobrze, aż nie chciała zdrowieć, aby tam dłużej być.

Generał Jaruzelski wygłosił *exposé*, w którym usiłował straszyć, że nikt nie opuści obozu, jeżeli nie podpisze zobowiązania lojalności wobec władz. Jednocześnie informował, że nie będzie sprawiał trudności osobom, które zdecydują się na wyjazd za granicę. Wielu internowanych po podpisaniu tzw. lojalki zwolniono z obozu jeszcze przed *exposé*. Nie było to dobrze odbierane, ale myślę, że nie nam to oceniać, gdyż ci ludzie mieli różne powody. Ja jednak byłem przeciwny temu, nawet nie dopuszczałem do siebie takiej myśli, by podpisać rzeczony dokument. Wśród moich znajomych byli tacy, którzy podpisali. Usiłowałem ich zrozumieć i nie potępiałem ich za to. „Aby kogoś ocenić, trzeba go najpierw zrozumieć” – mawiał mój współinternowany przyjaciel Andrzej Trzaska<sup>6</sup>. Jego mądrość i wyśmienite poczucie humoru nieraz dodawały mi sił w trudnych chwilach. Po *exposé* zacząłem rozmyślać o wyjeździe z kraju. Moja żona również rozważała taką możliwość. Wielu internowanych myślało o tym, ale spotkało się to także z krytyką innych. Pamiętam, że ilekroć byłem potępiany przez kogoś za moją decyzję o wyjeździe, zawsze w mojej obronie stawał Tadeusz Szczudłowski<sup>7</sup>. Jest on dla mnie wzorem szczerego patrioty, nieugiętego w swej postawie wobec komunistów. Mówił, że podjąłem słuszną decyzję. Tamto zdanie potwierdził jeszcze dziś w liście, który od niego otrzymałem. Dziękuję, panie Tadku.

W miarę upływu czasu złagodzone w obozach rygory. Jednak więzienie nadal pozostaje więzieniem i pobyt w nim był bardzo uciążliwy. Czas ten bardzo zbliżył mnie do Boga. W samotności i cierpieniu Bóg jest tak blisko człowieka, że wystarczy otworzyć oczy duszy, by Go zobaczyć i odczuć Jego Miłość. Z internowania zostałem zwolniony 24 lipca 1982 r. Następnie z żoną i córkami wyjechaliśmy do Niemiec. Po dwóch latach przeprowadziliśmy się do Ameryki. Dziś mieszkam z rodziną w Kudowie-Zdroju.

Wcześniej, w 2006 r. w numerze 8–9 (67–68) „Biuletynu IPN” opublikowaliśmy wspomnienie Jana Karandziewicza, *Musiałem przekakiwać przez płot*, o działalności w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża, a następnie w „Solidarności” w latach 1979–1980.

<sup>6</sup> Artysta plastyk. W obozie internowania byliśmy w tej samej celi.

<sup>7</sup> Działacz niepodległościowy z Wybrzeża, członek m.in. ROPCiO i WZZ.